

Artur Gruszecki.

# Po ślubie.

11

— Hm... tajemnica, mówisz? Powiem ci pod sekretem... wiesz, na piwie stanął pomiędzy nami zakład. Ja twierdziłem, że ty dotrzymujesz tajemnicy, to samo o swojej powiedział Szabelski i Orszycki. Otóż która żona pierwsza się wygada, mąż jej przegrywa zakład. Idzie Romciu o mój honor i twój, pamiętaj!

— Więc Natalcia wie o Grotowie?

— Może... nie wiem, ale ty dałaś słowo!

— Dałam, i możesz być spokojny.

Minęło może dziesięć minut po wyjściu Wineckiego, gdy odezwał się w przedpokoju dyskretny dzwonek. Romcia i Marcinowa wiedziały, że tak dzwoni tylko Bachmacki.

Otworzyła mu Marcinowa z przyjaznym uśmiechem i szepnęła poufale:

— Pani czeka.

— A Marcinowa nie boi się spaceru? — uśmiechnął się i wyjął portmonetkę.

— Gdzie mam iść?

— Po ciastka, — i wymienił najbardziej oddaloną cukiernię.

— Pójdę spytać się pani, — drożyła się.

— Sam powiem... pani pozwoli, — wręczył jej pieniądze z napiwkami.

Z bukietem pięknych róż, z pudełkiem truskawek, wszedł do saloniku.

Romcia po przebytych obawach, po spalaniu listów, postanowiła wejść na drogę poprawy i być zupełnie obojętną.

— Dobry wieczór prześlicznej pustelniczce, — zbliżył się i ucałował jej rękę, — racz pani przyjąć te kwiaty miłości, może uproszą o łaskawy uśmiech dla mnie.

Wzięta bukiet, odłożyła ze słowem:

— Dziękuję.

— Wspomniała pani, że lubi truskawki, — podał pudełko, — przyniosłem.

— Dziękuję, — powiedziała chłodno, odstawiając pudełko.

— Pani Romciu, co się stało? Czem zawiniłem?

— Niczem.

— Ależ pani taka zmieniona!

— Wcale nie, taką powinnam być i taką będę.

— Czy wolno wiedzieć przyczynę?

— Chce być dobrą, uczciwą żoną i nie zdradzać męża.

— A czy pani nie jest dobrą, uczciwą żoną?

— No, tak... jestem.

— Czy pani zdradziła męża?

— Niel.

— Więc poco zmiana? W przyjaźni byliśmy i będziemy, a ja pierwszy ostrzegłbym panią, gdyby pani miała zrobić coś złego. Jestem tylko przyjacielem pani i nic więcej. A pani inaczej myślała?

— Ja, nie! — zaprzeczyła żywo.

— Niechże pani swemu przyjacielowi nie broni rączki, — wziął i tulił do ust.

Starła się wyrwać rękę i mówiła:

— Dosyć! Dosyć!

— Zaraz... ale należy mi się pocałunek przyjaźni.

— O, co to, to nie!

On jednak ujął ją, przytulił do siebie i całował namiętnie.

— Puść pan, bo zawołam Marcinową.

— Wyszedł! My sami w domu, — posadził ją przy sobie na kanapce, — ja panią tak kocham, tak uwielbiam, a pani taka niedobra, taka surowa.

— Niel! Niel... Puść mię pan!

— Zaraz... Mówiła pani, że przed ślubem nie kochała pani męża... On po prostu kupił panią, skorzystał z niedostatku twego i dał ci jeść, pić, mieszkanie, ale nie dał miłości, bo nie kochał ciebie. Zaniedbuje ciebie, skąpi, ucieka z domu, i co ty masz po tej niewoli? Gdzie są twoje klejnoty? srebra? brylanty? Gdzie zabawy, teatru, koncerty? — przycisnął ją silniej, — ty jesteś biedna, biała opuszczona gołąbka, i dlatego tak bardzo ciebie kocham. Chciałbym ci nieba przychylić, kwiatami uślać drogę, napoić cię rozkoszą, szczęściem, — całował jej czoło, oczy, włosy.

Wsluchiwała się w jego słowa, jak w muzykę, one ją upajały. Nigdy mąż do niej tak nie

przemawiał, ani żaden mężczyzna. Podała się biernie tej rozkoszy, nagle wspomniła, że postanowiła być wierną żoną. Wsunęła mu się z rąk i powiedziała:

— Dosyć tej zabawy! Ja pana lubię, ale mam męża i gdyby on się dowiedział... zabiłby mnie i pana.

— Ale za co? — uśmiechnął się, — czy pani go zdradza? A pocałunek? Czy nie całuję ręki pani przy nim? I skąd ma wiedzieć, że ja tu przychodzę wieczorami?

— Ach, jak ja się dzisiaj bałam! Wie pan, wszystkie listy ze strachu spaliłam.

— Cóż się stało?

— Mam wyjechać na wieś...

— To wiem. Czy i on pojedzie?

— Niel.

— To bardzo szczęśliwie, a dokąd wyjeżdżasz?

— Nie mogę... to sekret.

— Jaki sekret? przecież będę pisywał listy i muszę mieć adres.

— Tak, to prawda, ale pan nikomu nie powiesz, że dowiedziałeś się odemnie.

— Nie, nie powiem.

— Wieś nazywa się Grotów.

— A gdzie ona?

— Dokładnie nie wiem, ale może pan domyśli się... tam są lasy, góry, kąpiele, jak mi mówił mąż.

— Jest to wprawdzie szczegółowe określenie, — zaśmiał się, — ale wolalbym wiedzieć którędy się jedzie? Jaka pocztowa stacja? Czy nie mówił pan Winecki?

— A, dodał jeszcze, że tam zupełna swoboda.

— Cudowna miejscowość! Więc tam możemy się kochać, całować... używać swobody.

— Wstydz się pan, — udała zagniewaną, — panu zawsze na myśli jedno i to samo, a ja boję się tej wsi.

— Dlaczego?

— Bo mąż mówił tak złośliwie o tym Grotowie, że on nie jedzie wprawdzie, ale ja znajdę tam kogoś... może to podstęp jakiś... o, bo on chytry i złośliwy.

— To głupstwo, na chytrą, jest chytrą, ale jeśli pani boi się wsi, to już lepiej tutaj zacząć, — pochwycił ją w pól i całował.

— Puść mnie!... Uduszę się! — wyrwała mu się z rąk, — zamiast robić takie głupstwa, dowiedz się pan co o Grotowie.

— Grotów?... Grotów? — wysilał pamięć, — słyszałem tę nazwę... tak, tak... już coś wiem, ale wpierw muszę cię ucałować.

Ona uciekła na pokój, on zerwał się, ażeby pobiedz, wtem zabrział dzwonek. Oboje stanęli jak wryci. Pierwsza oprzytomniała ona i zaczęła gorączkowo uporządkowywać włosy i suknię, szepcząc:

— Wszystko przez pana, i co ja teraz zrobić? Niech się pan ukryje.

— Nie otwierać i koniec, — rzekł cicho.

Wtem znów zadzwoniono, ale silniej i dłużej.

— Ach Boże! To może mąż, albo ktoś od niego. Schowaj się pan!

— Czy tam? — wskazał na pokój sypialny.

— Także coś! — szła do przedpokoju, — idź pan do kuchni.

— Dobrze... idę, — ale w przedpokoju ucałował ją i wyściskał.

W obawie, ażeby ten ktoś za drzwiami nie posłyszał, w milczeniu znosiła pocałunki i wepchnęła go do ciemnej kuchni. Sama podeszła do drzwi wejściowych i spytała:

— Kto tam?

— Otwórz, to ja! — Romcia odetchnęła, poznała głos Natalci, otworzyła drzwi.

— Dlaczego nie otwierałaś Romciu tak długo?

— Zdrzemnęłam się.

Ucałowały się serdecznie, a Natalcia mówiła szybko:

— Przyszłam do ciebie w sprawie bardzo ważnej, — weszła do ciemnego saloniku, — ależ tu ciemno! Zapal lampę, Romciu!

— Dosyć widno, Natalciu, — tłumaczyła się w obawie, ażeby przy świetle nie zobaczyć jej zamieszania i nieładu w ubraniu, — może tak posiedzimy.

— O, nie! Szarą godziną dobrze z chłopcem — zaśmiała się, — ale nie z tobą... O, bukiet! Różel — zawołała, — kiedy był Bachmacki? bo to od niego... a, i jakieś pudełko, — wzięła w rękę, — pachną truskawki, ale jeszcze nie otworzone... on tu jest! Gdzie on Romciu? bo słyszałam szmer w przedpokoju.

— Ależ nie! Był i poszedł, — powiedziała, stawiając lampę na stole.

— Tak?... Ale ty masz jakieś czerwone ślady na twarzy... całował cię! — śmiała się, — no, tu go niema, — patrzała po saloniku, — chyba w sypialnym, — wstała z fotelu, — ale tak nieostrożną nie jesteś... Romciu, gdzie on? Przecież nie w kuchni, bo to kompromitacja przed Marcinową.

— Wyszedł... mówię ci.

Dało się słyszeć przytłumione kichnięcie. Natalcia nastawiła uszy i zawołała wesoło:

— Już wiem!... Schował się w przedpokoju, — szła w tym kierunku i zawołała: — panie Bachmacki, nie bój się pan, to ja!

Otworzyły się drzwi od kuchni i Bachmacki, klnąc w duszy jej przyjście, — rzekł uprzejmie:

— Na głos syreny zjawiam się.

— Wiedziałam, że pan jesteś! — zaśmiała się, — i dlaczego, Romciu, ukrywałeś przedemną? Czy nie jestem twoją przyjaciółką?

— Bo... bo... — szukała Romcia słów nie chcąc wyznać, że z obawy przed nią.

— Bo gdy raz powiedziała, że niema mnie, nie chciała zmieniać zdania.

— Tak jest... to prawda! — zawołała ucieszona Romcia.

— Ja pana nie pytałam, — powiedziała dość szorstko Natalcia, — chciałam dowiedzieć się od Romci, bo taka nieufność obraża mnie.

— Ależ Natalciu, jak możesz to przypuszczać? — zawołała Romcia, — ja nie taję nic przed tobą.

— A jednak ukrywałaś i nie rozumiem tego zupełnie, chyba że popełniliście coś takiego, że musicie się ukrywać.

— Daję pani słowo honoru, że nawet pan Winecki byłby się zaledwie skrzywił, — zapewniał uroczyście Bachmacki.

— Potraktujże mnie truskawkami, — upomniała się Natalcia.

Gospodyni podała talerzyki, łyżeczki, i obydwie panie jadły chętnie, a Bachmacki ledwie skosztował.

— Wiesz, Romciu, z czym przyszedłam do ciebie? Nie zgadniesz... jadę na wieś w przyszłą sobotę... i wiesz dokąd?

— Nie wiem.

— To ma być sekret, — nachyliła się do ucha i szepnęła: — do Grotowa.

— I ja tak samo, — odszepnęła, — a gdzie ten Grotów?

— Gdzieś w górach... a jemu powiedziałaś? — spojrzała w stronę Bachmackiego.

— Nie!

— To dobrze... teraz ja mogę spytać się jego o tę wieś, — i głośno zwróciła się do Bachmackiego: — czy nie słyszał pan co o Grotowie?

— Owszem... to leśniczka, blisko Zakopanego... Podobno ładna miejscowość, a dlaczego pani pyta?

— Tak sobie... jedna z moich znajomych ma tam jechać. Nie wie pan, jakie tam są mieszkania? czy drogie? I jakie warunki życia?

— Mogę się dowiedzieć.

— Ale kiedy? Ja muszę wiedzieć, chociażby jutro.

— Jutro, to nie! ale dziś, mogę.

— Więc mów pan! Czekamy!

— Kiedy nie wiem.

— Cóż to za żarty? — nachmurzyła się.

— Wiem, że dziś o tej porze jest na kolacy pewna osoba, która była w Grotowie. Jutro, nie wiem, czy ją spotkam.

— Idźże pan i dowiedz się, — zachęcała Natalcia.

— Sam nie mogę, mam taką podłą naturę, że zaraz zapominam tego, co mnie nie interesuje. Gdyby panie poszły ze mną, byłoby dobrze.

— Nie mogę, — odezwała się Romcia, — jestem nieubrana.

— Ja pomogę pani się ubrać, — ofiarował się z gotowością, — zawiążę spodnicę, zapnę stanik, rękawiczki.

— Niel! Nie pójdę, — upierała się Romcia, — przyjdzie mąż... Marcinowa wyszła.

Ostatecznie dała się namówić Natalcia, której obiecał Bachmacki, że zatelefonuje po Niedzickiego.

Gdy Romcia ubierała się, mówiła Natalcia do Bachmackiego:

— Nie pamięta pan nic, co mówiono o Grotowie?

— Cokolwiek przypominam sobie, że opisywano mi Grotów, jako zapadły kął! Co jednak pani tak zależy na tym Grotowie, niech ta zna-